

WSPOMNIENIE O STACHU



Przychodzi taki czas, gdy zaczynamy wspominać. Kiedyś, dawniej, za moich czasów, w czasach minionych. Dawniej to kiedy? Kiedy dawniej? Jak mierzyć czas...?

Lata jak mierzyć
co w równym marszu
nie wiedzieć dokąd zmierzają
Miesiące, co płyną po niebie
na cztery czwarte
takt wypełniając

Jak mierzyć galop tygodnia
Jak mierzyć dobę
Dzień, co obok mija
Sekundy liczyć – minuty?
Upływające godziny?
Lata liczyć od końca aż po narodziny

No właśnie – kiedy? Kiedy były te czasy? Moje, nasze czasy – to było dawniej, to czasy naszych wspomnień, naszej młodości, czasy dawno minione, ale na pewno lepsze. Lepsze od tego, co dzieje się dziś, kiedy świat jest jakiś inny, bardziej obcy, nieprzystosowany do nas, do naszych potrzeb. Młodzież kiedyś była inna – lepsza oczywiście, mniej bezczelna, nierozpsuta, grzeczna. Studenci lepiej wychowani – uczyli się lepiej, byli mądrzejši. Jest w tych słowach ironia, bośmy wcale lepsi ani mądrzejši nie byli, ale wspomnienia w większości mają to do siebie, że ubarwiają świat; a teraz – a w dzisiejszych czasach, w świecie zepsutym zdemoralizowanym żyć coraz trudniej, zwłaszcza gdy opuszczają nas przyjaciele, gdy odchodzą do innego lepszego świata.

Wspominaliśmy często ze Stachem te dawne nasze czasy. Czasy studiów we Wrocławiu, kiedy tydzień wraz z sobotą był wypełniony wykładami, ćwiczeniami, seminariami; kiedyśmy pilnie ślęczeli w Ossolineum nad książkami, bo nie było kopiarek, internetu, smartfonów i każde słowo należało dokładnie obejrzeć, żeby jak najwięcej zapamiętać,

bo do książek były kolejki; należało się zapisać, żeby w wyznaczonym terminie dostać do nich dostęp. Nikogo nie interesowało, że jakaś pozycja jest niedostępna, zadane lektury należało znać i już.

Większość zajęć mieliśmy na placu Nankiera w budynkach szesnastowiecznego klasztoru i w tak zwanej Rospondówce – też zabytkowej budowli, gdzie mieściła się Katedra Języka Polskiego utworzona przez Stanisława Rosponda wybitnego uczonego, onomastę, którego Stachu często wspominał i z dumą mówił, że jest jego uczniem. Obaj byliśmy uczniami profesora, w indeksie (prawdziwym, nie elektronicznym) mam jego podpisy, na książkach jego dedykacje. Wspominał też Stachu Furdala, Hernasa, Klimowicza, Woronczaka, Borka, Bąka, Zakrzewskiego – uczonych, którzy mieli wpływ na nas, z którymi później pracowaliśmy w jednym instytucie. Z dumą mówił też o Witoldzie Doroszewskim, który ścisnął nam ręce, gdy zostaliśmy wyróżnieni nagrodą za referat na zjeździe studenckim. Nie mówię tu o tych wszystkich uczonych, ale o Stachu i o jego dumie z osiągnięć naukowych, które może przesadnie akcentował, ale jednocześnie znał ich wagę i zostawił po sobie wcale pokaźny dorobek.

Poznaliśmy się na pierwszym roku studiów, pierwszego dnia pobytu we Wrocławiu przy kwaterowaniu w akademiku przy ul. Pocztowej 9. Do Wrocławia przyjechał z małego miasteczka na północnym wschodzie Polski – z Ornety, ja miałem do domu zaledwie 60 kilometrów. Dostaliśmy sześciuosobowy pokój. Tak – przez kilka lat mieszkaliśmy w sześć osób. Wspólne zajęcia, pokonywanie trudności dnia codziennego, uczestnictwo w życiu kulturalnym, początki zainteresowań naukowych spowodowały, że się zaprzyjaźniliśmy. Zaprzyjaźniły się też nasze rodziny, odwiedzaliśmy się nawzajem, a Stachu, ponieważ do domu miał 600 kilometrów, spędzał u nas weekendy i święta.

Chaotyczne jest to, co piszę, bo pamięć jest zawodna, a wspomnienia trudno jest systematyzować. Wspomnienie czy wspomnianie? Pewnie i jedno, i drugie. Językoznawca ma w tym celu tak zwane słowa klucze. Jeśli mam więc wspominać Stacha, to biorę pod uwagę taki ciąg słów: profesor, uczony, kolega, autor, uniwersytet, student, ale najważniejsze to przyjaciel i przyjaźń.

Przyjaźń od początku studiów, przyjaźń młodzieńcza, studencka, związana z Wrocławiem. Łączyła nas też przyjaźń intelektualna, która się kształtowała w dyskusjach, na seminariach, w działalności naukowej. Jeszcze w akademiku prowadziliśmy (nie zawsze na trzeźwo) długie często nocne dyskusje. Przyjaźniły się i do dziś przyjaźnią nasze dziewczyny, później żony. Lubił Stachu mówić o tym, że świadkowaliśmy sobie nawzajem i to jest gwarancja trwałości naszych małżeństw. W czasach narzeczeńskich wiele czasu spędzaliśmy na ubawach w klubach studenckich; zawsze byliśmy razem i razem bywaliśmy, bawiliśmy się i wychowywaliśmy dzieci, dużo czasuśmy razem spędzali.

Nasza przyjaźń bywała też twarda, męska. Rywalizowaliśmy na polu naukowym, ale też wspólnie budowaliśmy instytut, przeżywaliśmy sukcesy i porażki. Przyczyniliśmy

się (mimo rywalizacji) do sukcesu naukowego IFP. Wykształciliśmy liczną gromadę doktorantek.

Sporą część życia spędziliśmy w trudnych czasach, na pewien czas rozeszły się nasze drogi, staliśmy po dwóch stronach „sceny politycznej”, ale przeciwieństwa poglądów nie zachwiały naszą przyjaźnią. Ja mówię, że to była przyjaźń mimo. Mimo przeszkód, mimo wad, mimo rywalizacji, mimo poglądów. Przyjaźń z człowiekiem, który znał znaczenie i wartość słów. Przyjaźń ze Stachem nie była pustym słowem. Zawsze o każdej porze dnia i nocy był gotów dawać i dawał świadectwo tej przyjaźni.

Od początku naszej znajomości nawzajem się wspieraliśmy, przeżyliśmy trudne czasy, kiedy wiele rzeczy trzeba było załatwiać, kiedy liczyły się znajomości i dojścia. Mieliliśmy szczęście, bo Uniwersytet Wrocławski dysponował jakąś pulą mieszkań i rok po roku jako początkujący asystenci dostaliśmy mieszkania we Wrocławiu, co pozwoliło nam myśleć o jakiejś ustabilizowanej przyszłości. Potem były doktoraty, praca naukowa, pobyt Stacha na uniwersytecie w Bonn. Nie widzieliśmy się chyba ze trzy lata, aż pewnego dnia przyjechał pięknym mercedesem i pojechaliśmy podziwiać auto. W ogóle Stachu lubił się chwalić wszelkimi swoimi osiągnięciami i sukcesami. Chętnie zabierał nas na przejażdżki. Nas – Tereskę, Basieńkę i mnie, bo jeszcze na studiach się poženiliśmy i wspólnie spędzaliśmy wolny czas.

A taki samochód to naprawdę był szczyt marzeń. Tym autem kilka razy jeździliśmy do Niemiec, bo miał tam Stachu liczne kontakty naukowe. I zawsze byłem jego gościem. Z jego wsparciem otrzymałem stypendium na uniwersytecie w Münster, gdzie między innymi miałem wykład o zmianach w niemieckiej ortografii. I wtedy Stachu mi imponował, bo bez żadnego przygotowania płynnie ten wykład tłumaczył. Wzbudził tym też uznanie niemieckich studentów i podziw kolegów profesorów, wykładowców. Raczej rzadko zdarzają się na wykładach uniwersyteckich brawa, po moim wykładzie brawa były. Stachu na nie zasłużył.

W 1992 roku już po habilitacji przenieśliśmy się do Zielonej Góry, gdzie dostałem etat profesora w Wyższej Szkole Pedagogicznej im. Tadeusza Kotarbińskiego. Obaj byliśmy na rozdrożu. Stachu z różnych względów nie chciał wracać do Wrocławia, pracował nad habilitacją, ja organizowałem Katedrę Komunikacji Językowej. Znowu pracowaliśmy w jednym miejscu, mieszkaliśmy niedaleko siebie. Tereska pracowała w liceum, Basieńka jako neurologopedka też znalazła pracę w szkole. Stopniowośmy się zakorzenili w Zielonej Górze, a że mnie i Basieńkę ciągnęło na wieś, wybudowaliśmy dom w Wilkanowie, Stachu z Tereską urządzili się w pięknym dwupoziomowym mieszkaniu niedaleko WSP. Odwiedzaliśmy się codziennie, co może się wydawać dziwne, a przyjaźń umocniła się, gdy ciężko chorował Bogdan. Stachu z Tereską ze wszystkich sił nas wspierali, o każdej porze dnia i nocy byli gotowi nam pomagać, a nasz syn (trwało to ponad rok) wyzdrowiał.

Praca na WSP, a potem na Uniwersytecie Zielonogórskim dawała wiele satysfakcji. Stachu dał się poznać jako nieustrudzony mówca i dyskutant na posiedzeniach różnych gremiów, przez wiele lat był członkiem Senatu UZ. Intensywnie pracował naukowo, zbudował wraz z młodszymi koleżankami silny ośrodek naukowy, jego koncepcja historii języka znalazła uznanie w środowisku akademickim.

W 2015 roku przeprowadzili się z Tereską do Radomi – zamienili mieszkanie w Zielonej Górze na uroczy dom na skraju lasu. W pięknym ogrodzie tuż przy lesie przyjmowali gości; Stachu urządził wędzarnię, a na grillu smażył „największe kotlety” i nimi częstował. Kilka lat temu sprawili sobie psa. Bernardyn otrzymał imię Nero i jest największym psem w okolicy. Olbrzym waży ponad sto kilogramów i lubi witać gości. Stachu był z niego dumny i kochał go bezgranicznie. Tu zaczyna się mieszać czas teraźniejszy z przeszłym, kończą się więc wspomnienia o przyjacielu i o przyjaźni. A Stacha po prostu nam brakuje, coś począć...

*Co począć, kiedy oczy same mokną?
Stanąć w oknie
W niebo spojrzeć,
Szukać słońca, gdy chmury
Chmur, kiedy słońce oślepia
I będzie trochę lepiej*

Marian Bugajski
profesor emeritus
Uniwersytetu Zielonogórskiego